

REJESTR DOTYCZY:

CONRAD/-KORZENIOWSKI/ Borys

s/c Józefa Conrada-
Korzeniowskiego i Jessie Emmeline

z d.

* 1896 w

kraj:

+ 13 lkt. 1978 w szpit. w Guildford, Surrey

kraj: UK.

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

895 / 78

Nota zamieszczona:

w tomie

części

Indeks

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

U w a g i:

Zmarł syn Conrada

Korzeniowskiego

13 listopada br. zmarł w szpitalu w Guildford, po ciężkiej operacji, Borys Conrad, starszy syn Józefa Conrada-Korzeniowskiego, sławnego pisarza. Urodzony w r. 1896, poświęcił się studiom technicznym; brał udział w pierwszej wojnie światowej; przed kilkoma laty wydał wspomnienia o swoim ojcu, które zostały również przełożone na język polski. Pozostawił syna Filipa i wnuka Stefana, ostatniego potomka rodu Korzeniowskich. Młodszy brat Borysa, John, architekt z zawodu, żyje w Kencie. Zmarły zamierzał przekazać liczne pamiątki po swoim wielkim ojcu, wśród nich wiele pamiątek polskich, Ośrodkowi Conradowskiemu, który powstał w bieżącym roku na terenie Polskiej Biblioteki w POSK-u.

(W.T.)

Przypisy:

- s. Filip i wnuk Stefan w UK.

Źródła i bibliografia:

* Wiadomości nt 1058 z 10.7.66 - "Borys, syn Conrada" wywiad przeprowadzony przez Krystynę Sierz

znok rozpoznawczy

* Dziennik "olski" 11.78 - notatka o śmierci

18/ .XI.78/

BORYS, SYN CONRADA

Jadę pociągiem z Londynu do miejscowości Hazlemere, położonej w hrabstwie Surrey by odwiedzić starszego syna Conrada, Borysa. Krajobraz zimowo-angielski, tzn. nie ma śniegu, tylko szare, bezlistne drzewa i bezkolorowe równiny. Dom Borysa Conrada leży w pobliżu miasteczka i nazywa się „Olinda”. W tej okolicy chętnie osiedlają się Anglicy, którym przez ciąg pracowitego żywota udało się zarobić nie tylko na spokojną, ale wręcz luksusową starość. Dom otoczony jest ogrodem dobrze utrzymanym, nawet o tej porze roku, bo zajmuje się nim postać już niemal w Anglii mityczna — wykwalifikowany ogrodnik. Co za kontrast ze skromną posiadłością Johna Conrada, młodszego brata Borysa, nad którą unosi się atmosfera jakby melancholii i żalu za straconą świetność. U Borysa widzi się na każdym kroku dobrobyt i idącą za tym wygodę.

W wyglądzie dwóch braci kontrast jest jeszcze większy. Borys zbliża się do siedemdziesiątki, krępy, zażywny, z siwymi włosami i pocraną zmarszczkami twarzą. Nie można się dopatrzeć żadnego podobieństwa rodzinnego między nim a rozlicznymi fotografiami Korzeniowskich porożewszanymi na ścianach. Zaraz po powitaniu Borys oprowadza mnie po domu.

— Jestem bardzo dumny z tego domu, bo wiele pracy włożyłem w jego urządzenie. Oto jadalnia. Prawda, jaka przytulna?

— Widzę portret matki pana w pięknych pastelowych kolorach, kto to robił i kiedy?

— Zrobiony był w czasie naszego pobytu w Zakopanem przez Angielkę nazwiskiem Kincaid. Mój ojciec nie lubił tego portretu.

— Dlaczego? Artystce udało się uchwycić podobieństwo wcale dobrze?

— Ojciec twierdził że szyja jest źle namalowana i tak długo zadreślał malarzkę aż zgodziła się domalować błękitny woal — coś w rodzaju szala, który zakrył zupełnie szyję. Między tym szalem a kapeluszem twarz matki jest niemal niewidoczna...

— Tak, ale błękit szala doskonale harmonizuje z niebieskością oczu pani Jessie. Czy ma pan jeszcze jakieś pamiątki z pobytu w Polsce?

— Miałem wiele fotografii, ale jakoś się rozeszły. Została mi tylko jedna. Proszę, przejdźmy do salonu — zaraz pani pokazę.

W obszernym salonie ściany obwieszone są mnóstwem fotografii Conrada. Można by nimi zilustrować życiorys pisarza niemal od kolebki do grobu. Borys przegląda jakieś albumy i

wodnikiem na wycieczkach w Tatry. Właściwie nie miał zbyt wiele czasu by cokolwiek malować. Zawsze otoczony był dziećmi.

— Widzę z tego że robiliście wyprawy w góry.

— Łaziliśmy dużo. Jakoś trzeba było zabić czas.

— Czy przypominają pan sobie jakąś ciekawą wyprawę? Np. do Morskiego Oka, tego znanego tatrzańskiego jeziora lub coś podobnego?

— Nie. Nasze poruszanie się ograniczało się do samego Zakopanego i najbliższej okolicy; były to raczej spacer, niż górskie wyprawy.

— Czy nauczył się pan trochę po polsku?

— Nic, zupełnie nic. Wszyscy mówili po francusku, nawet dzieci. Mówili po francusku nawet do mojej matki, która nie rozumiała w tym języku ani słowa.

— Więc była ona właściwie zupełnie odcięta od towarzystwa?

— Tak, rzeczywiście. Pamiętam naszą powrotną podróż do Krakowa. Szalała śnieżycą. To musiał być listopad. Gruba warstwa śniegu pokrywała okolice.

— A cały bagaż zawieruszył się w podróży. Prawda?

— To nie wtedy, to było później. Gdy przybyliśmy do Krakowa po — jak mi się zdawało — karkołomnej jeździe z gór, wszystko jeszcze było w porządku, cały bagaż był z nami. Dopiero w drodze z Krakowa do Wiednia kufry się gdzieś zapodziały. Po przybyciu do Wiednia nie mieliśmy dosłownie nic. Jak pamiętam, ojciec miał tylko marynarkę i spodnie. Można by powiedzieć, że byliśmy wszyscy tylko do połowy ubrani. Zaczęły się poszukiwania i trwałyby przypuszczalnie o wiele dłużej, gdyby nie matka. Była ona najbardziej zdecydowaną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Była bardzo, ale to bardzo spokojna, bardzo łagodna, ale niezwykle zdecydowana. Gdy raz powiedziała: „zrobimy to i to”, tak było. Szukaliśmy po wszystkich stacjach kolejowych Wiednia, było ich trzy czy cztery — pozwolono nam poruszać się po Wiedniu. Towarzyszyłem jej w tych poszukiwaniach. Żadne z nas nie mówiło ani słowa po niemiecku. Matka z całą determinacją docierała do wszystkich przechowalni bagażu i wreszcie znalazła nasze kufry przywalone sterką innego bagażu.

— I odzyskała je?

— Ależ naturalnie. Jak to zrobiła nie pamiętam.

Borys wstaje, by przygotować podwieczorek. Jestem zainteresowana wyglądem kuchni więc pytam czy

przez ojca nie przypominały w najmniejszej mierze podarunków, jakie obecnie dzieci otrzymują na Boże Narodzenie.

— Co otrzymywał pan od ojca?

— Gdy miałem pięć czy sześć lat, dostałem od ojca sztucer, mój pierwszy prawdziwy sztucer. Ofiarowywał mi tylko takie rzeczy, które wedle jego zdania były właściwe dla chłopca. Ojciec był w dobrych stosunkach z miejscowym kowalem, który naprawiał powozy. Tenże kowal, za namową ojca, zrobił np. coś, co miało cztery koła. Ojciec przyczepiał to do samochodu lub wsadzał mnie do tego i woził po ogrodzie. To był ciężki wehikuł, którego nie mogłem nie tylko podnieść, ale nawet popchnąć. Takie rzeczy otrzymywałem od ojca. Wieczorków dziecinnych i zabaw nie było w ogóle, bo w okolicy nie było dzieci w moim wieku.

— Był pan, jak mi się zdaje, w większej zażyłości z ojcem, niż brat pana, bo był pan dużo starszy.

— Niewątpliwie. W młodości zapadałem na różne choroby. Wtedy ojciec często musiał mnie pielęgnować, bo matka była zawsze trochę kaleką.

— A przecież był pan w wojsku?

— Pamiętam byliśmy na wakacjach w Szwajcarii. Dostałem wtedy zapalenia stawów, koklusz i zapalenie opłucnej. Wszystko naraz. Szwajcarski lekarz prorokował mi najwyżej rok lub dwa życia. Dosłownie umył ręce od całej sprawy. Zabrano mnie więc do domu, a gdyśmy przyjechali ojciec oświadczył: „Chcesz nadal być marynarzem?”. Było to wtedy moje marzenie. „Tak” — odpowiedziałem. „No to zabieraj się na szkolny statek!”. Zostałem wcielony do załogi szkolnego statku, i zdrowie moje od razu się poprawiło. Zszedłem ze statku w pełni sił. Odbiło się to na zasadzie „końskiej kuracji”. Ta kuracja mnie uleczyła.

— To był projekt ojca?

— Tak. Niestety, wzrok mi nie dopisywał, może jako pozostałość po zapaleniu stawów. W owych czasach nikt nie mógł służyć w marynarce angielskiej, kto nosił okulary. I to nie tylko w marynarce liniowej, ale nawet w służbach. Dopiero po pierwszej wojnie światowej zezwolono lekarzom i piałnikom marynarki nosić okulary. To była przyczyna, dlaczego nie dostałem się do marynarki ale tylko do wojsk lądowych.

— Czy był pan bardzo rozczarowany?

— Dwie były przyczyny naszej podróży do Polski, pierwsza: pragnienie ojca odwiedzenia kraju, a druga: to usmierzenie goryczy, jaka mnie opalała na wieść że nigdy nie będę

rządowych i podobnych. Wydaje mi się że pisze wcale dobrze, ale na tematy czysto fachowe, ogranicza się wyłącznie do swojej dziedziny.

— Czy ma dzieci?

— Ma syna Stefana, który ma sześć lat.

— Ktoś mi mówił, że ma pan „pub” — bar...

— Ale skądże znowu! Często zachodzę do baru, ale nie jestem właścicielem żadnego. Jestem inżynierem. Już wiem skąd wyszła ta plotka. Mieszka tu naprzeciw Polak, z którym jestem w przyjaznych stosunkach. I on prowadzi bar w sąsiedztwie. Chodzę tam często, bo dają doskonałe kolacje. Jest zawsze pełno osób. Stefan Knapp...

— O, ten malarz!

— Tak. On przychodził tam również. Bardzo lubię ten lokal, jak powiedziałem, często tam chodzę. Stąd też musiała powstać ta plotka. Nigdy w życiu ani nie prowadziłem baru ani nawet o tym nie myślałem.

— Czy pan wciąż jeszcze pracuje w swoim zawodzie?

— Naturalnie, wyjątkowo tylko, gdy ktoś taki jak pani się zjawia, zajmuję się gośćmi. Nawet dziś rano byłem w pracy, ale nic mi tam nie szło. Zrozumiałem że nie skończę niczego przed obiadem, więc zrezygnowałem na dzisiaj z pracy.

— Czy to prawda że ojciec pana przy końcu życia miał zamiar powrócić do Polski?

— Prawdopodobnie pojechałby znowu do Polski, choć nie jestem tego pewien. Życie układało się inaczej. Stan zdrowia matki stale się pogarszał, zdrowie ojca też szwankowało. Nie przypuszczam aby wybrał się w taką podróż.

— Matka pana wspomina w swej książce że było to jednak jego zamiarem.

— Ojciec głęboko odczuwał wszystko co dotyczyło Polski. Obawiał się że wiele rzeczy sprawiłoby mu przykrość i dlatego nie chciał się w to mieszać. Wątpię, czy by się zdecydował na wyjazd.

— Ale czuł się Polakiem do końca życia?

— Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Mogę to śmiało stwierdzić.

— Przypominam sobie że w czasie pierwszej wojny światowej wysłał memorandum w sprawie polskiej do rządu brytyjskiego.

— Tak, sprawa polska głęboko leżała mu na sercu.

— Umarł nagle — może śmierć przeszkodziła mu w wypełnieniu planów. Ojciec pana chciał, jak wiem, wybrać się na połów wielorybów.

— Oszustem był salonie ściany obwieszona są mnóstwem fotografii Conrada. Można by nimi zilustrować życiorys pisarza niemal od kolebki do grobu. Borys przegląda jakieś albumy i wreszcie znajduje to czego szukał.

— O, tu ją mam! Fotografie mają tendencję do znikania, jeśli się ich nie oparwi. Ta jedna została z mego pobytu w Polsce. Zrobiłem to zdjęcie, gdy zachwyciły mnie brązowe wrota na zamku królewskim na Wawelu.

— Ile pan miał lat gdy byliście z ojcem w Polsce?

— W styczniu owego roku skończyłem 16. Mój brat miał wtedy 7.

— Co pan pamięta z podróży i pobytu w Polsce,

— Pamiętam dokładnie, że wszyscy mówili o wojnie. J. C. twierdził, że te straszaki wojenne nie wpłyną na jego plany. Nazywaliśmy ojca J. C., jak pewno pani wie. Przybyliśmy do Berlina, jeśli dobrze pamiętam, 29 lipca, tuż przed wybuchem wojny. Matka o kulach, zawsze była kaleką. W niedzielę zdobyliśmy w jakiś sposób krzesło inwalidzkie i zabraliśmy matkę do ogrodu zoologicznego.

— Z Berlina pojechaliście następnie dokąd?

— Wprost do Krakowa. Był z nami Retinger; wie pani dr Józef Retinger, który zmarł niedawno. Jego żona, o ile wiem, żyje jeszcze w Polsce, ale nie znam jej adresu. Mieliśmy być ich gośćmi, posiaćłość ich była po rosyjskiej stronie granicy. Pani Retingerowa pojechała kilka tygodni przed nami, a mąż jej towarzyszył nam w podróży.

W Krakowie pamiętam doskonale jedno zdarzenie. Siedzieliśmy w restauracji hotelowej — nie przypominam sobie nazwy hotelu — z dala od wejścia, gdy nagle ojciec spojrzal w stronę drzwi i na jego twarzy zjawil się wyraz radosnego zdziwienia. Pamiętam, w drzwiach stał wysoki, siwy, przystojny mężczyzna z wąsem i patrzył na ojca. Przez długą chwilę patrzyli tak na siebie i nagle ni stąd ni zowąd skoczyli ku sobie i na środku sali padli sobie w ramiona. Ojciec trzyknął: „Kostus — przypuszczam że to szkolne przezwisko lub zdrobnienie imię — Buszczyński!”. Ścisnęli się na środku sali — zawsze wspominam tę scenę. Był to przyjaciel ojca, którego nie widział czterdzieści lat. Następnego dnia udaliśmy się do majątku Buszczyńskiego. Było to w dniu wybuchu pierwszej wojny światowej. Pojechaliśmy wypożyczonym samochodem. Podczas podwieczorku w małym pokoju zjawilo się wojsko austriackie i zaczęło rekwirować konie i wozy. Z wielką trudnością powstrzymano ich od zarekwirowania samochodu, bez którego matka nie mogłaby wrócić do Krakowa.

— Czy pamięta pan coś z samego Krakowa? Matka pana wspomina, że an wraz z ojcem zwiedziliście miasto

— Ależ naturalnie. Jak to zrobiła nie pamiętam.

Borys wstaje, by przygotować podwieczorek. Jestem zainteresowana wyglądem kuchni, więc pytam, czy mogę mu pomóc. Wchodzimy do niewielkiej, ale prześlicznie urządzonej kuchni.

— Taka kuchnia, to marzenie każdej gospodyni. Czy pan sam ją tak ładnie utrzymuje?

— Tak, gotuję i sprzątam sam, nie mam żadnej pomocy, zresztą przywykłem do samotnego życia. Moja żona chorowała przez szereg lat więc musiałem się nauczyć gotować. Dlatego właśnie nie pojechałem do Polski w r. 1956 na uroczystości związane ze stuleciem ojca, chociaż byłem zaproszony, ale moja żona była wtedy już umierająca.

— Czy pan robi jakieś potrawy polskie?

— Owszem. Gulasz oraz pierożki z owocami. Nauczyłem się je przyrządzać od mojej matki. Lubila ona wkładać do środka kawałki jabłka, ale ja wolę śliwki.

— A jak z napojami? Podobno polska wódka zaczyna powoli wypierać w Anglii whisky, jeśli chodzi o popularność. Czy pan ją lubi?

— Nie, ja wódki nie piję. Zetknąłem się z nią po raz pierwszy w okolicznościach dość niezwykłych. Otóż gdy byliśmy w Krakowie, nasz przyjaciel Retinger otrzymał wiadomość że jego żona została zatrzymana na granicy rosyjskiej. Zwołano naradę i postanowiono pojechać na granicę z pomocą. Powyślano pistolety i mieliśmy jechać z odsieczą. Ojciec objął dowództwo wyprawy i stanowczo oświadczył że jeżeli mamy jechać, to bez pistoletów. Poodbierał je i zamknął w szafie. Do granicy nie było zbyt daleko. Pani Retingerowej nie znaleźliśmy, i skończyło się na tym, że spędziliśmy całą noc pijąc wódkę z austriackimi strażnikami granicznymi, którzy zresztą byli bardzo uprzejmi.

Wracamy do salonu by wypić herbatę. Jak zawsze w Anglii, herbata zaparzona z całym staraniem, może godnym lepszej sprawy, jest doskonała. Do niej ciastka i herbatniki, tych różnorodność niebywała.

— Czy ma pan jakieś wspomnienia ze swego dzieciństwa w waszym domu?

— Myśli pani z tych czasów gdy byłem dzieckiem?

— Tak.

— Właściwie to nie mam żadnych. Byłem jedynym dzieckiem aż do 9-go roku życia. Mieszkaliśmy na głębokiej prowincji. Naturalnie otrzymywałem prezenty, ale prezenty dawane

— Czy był pan bardzo rozczarowany brytyjskim?

— Dwie były przyczyny naszej podróży do Polski, pierwsza: pragnienie ojca odwiedzenia kraju, a druga: to uśmierzenie goryczy, jaka mnie opłoniwała na wieść że nigdy nie będę mógł służyć w marynarce. Po powrocie z Polski ojciec zapytał mnie, co mam zamiar robić ze sobą. Odpowiedziałem, że chcę iść do wojska. Na to ojciec oświadczył: „Musisz mi przyrzec że powiesz im, ile masz lat”. Myślał, że nie uda mi się zaciągnąć w szeregi, ale mi się udało.

— Ojciec zadedykował panu swoją książkę — „Smugę cienia”.

— Tak.

— W związku z pana przeżyciami na wojnie.

— Wie pani, ta dedykacja, tak jak ją zamierzał, jest zupełnie jasna. Drużo było takich, w moim wieku: 16, 17 lat, którzy zostali wtrąceni w ten bigos we Francji. W normalnych czasach opuszczalibyśmy ławy szkolne i zaczynalibyśmy poszukiwać własnych dróg w życiu. Byliśmy w tym przejściowym wieku między sztubakiem a dojrzałym człowiekiem. I ten przejściowy wiek wojna nam zabrała. Prosto ze szkoły wskoczyliśmy w okopy wojenne, w wojnę, której nie można było nazwać — przyjemną. Nie było w niej żadnego ruchu, jak w tej ostatniej, siedziało się w jakiejś dziurze, przylatywała kula lub pocisk, i było po wszystkim. Ta sytuacja ówczesnej młodzieży spowodowała tę dedykację.

— Pamiętam słowa ojca pana: „Borysowi i jego rówieśnikom, którzy w zaraniu swej młodości przekroczyli „smugę cienia”, utwór ten z miłością poświęcam”. Po powrocie z Francji ożenił się pan. Nastąpiło to nagle, i jak pisze matka pana, w sekrecie.

— To prawda. Była to sprawa, w której nie zastosowałem się do rad ojca.

— Czy to znaczy że ojciec był przeciwny temu małżeństwu?

— Ojciec nie znosił abym cokolwiek robił bez jego wiedzy, a w tym wypadku nie mu nie powiedziałem. Właściwie jednak nie był znów tak bardzo zły.

— Ma pan dwóch synów?

— Nie, to mój brat miał dwóch. Ja mam jednego.

— Na imię mu Filip?

— Tak.

— W jakim zawodzie pracuje?

— Zajmuje się planowaniem miast.

Właśnie teraz dostał się do działu planowania w hrabstwie Worcester. Innymi słowy, pracuje w samorządzie miejskim.

— Czy ma jakieś zdolności literackie?

— Raczej nie, choć z drugiej strony pisze dużo z dziedziny swoich zainteresowań, w czasopismach samo-

— Tak, sprawa polska głęboko leżała mu na sercu.

— Umarł nagle — może śmierć przeszkodziła mu w wypełnieniu planów. Ojciec pana chciał, jak wiem, wybrać się na połów wielorybów.

— Wydaje mi się, że właściwie nie miał ochoty ruszać się nigdzie. Był zupełnie szczęśliwy i pędził wygodne życie. Miał już wtedy uznanie. Nie żył zbyt długo, aby się nim nacieszyć, ale nie myślę, by w tym okresie przed samą śmiercią odczuwał niepokój, który miałby go pędzić w nowe przygody. Poszukiwał wtedy nowego domu, bo stary trzeba było opuścić, i to go w pełni absorbowowało.

— Czy pamięta pan nazwiska osób, które pisały do pana z Polski?

— Mam gdzieś ich listy. Wiele osób pisze do mnie z Polski. Młodzi ludzie, którzy studiują i piszą prace.

— Na temat ojca pana?

— Tak. Chcą oglądać fotografie, książki, pamiątki. Nie kończące się rozmowy. Dotyczy to studentów angielskich. Wszyscy chcą pisać prace o moim ojcu. Mówiąc szczerze, trochę mnie to nudzi. Za dużo tego.

— I to jest przyczyna, dla której chce pan sam napisać książkę, by pozbyć się tych natręczywych pytań?

— Nie. Od dawna noszę się z zamiarem napisania książki. Teraz, gdy nie pracuję zbyt ciężko, prawdopodobnie zabiorę się do niej.

— Niech mi pan powie, jak to się stało, że dano panu na imię Borys. Czy ojciec pana uważał że to polskie imię?

— Ojciec stanowczo nalegał aby było pisane przez „y”, bo tak jest po polsku, a nie po rosyjsku. Był bardzo czuły na tym punkcie.

— I aż do dnia dzisiejszego pisze pan swoje imię przez „y”?

— Tak.

— Czy używał pan kiedyś nazwiska Korzeniowski?

— Nie. Dawno już przestałem używać tego nazwiska, i to oficjalnie. Tak samo zresztą jak to zrobił i ojciec. Czyli złożyłem prawną deklarację, że nie będę używał rodzinnego nazwiska i że życzę sobie być znanym pod nazwiskiem Conrad. Przez tę samą procedurę przeszedł także ojciec. Choć jak pamiętam, i to od najwcześniejszej młodości, nigdy nie mógł on być brany za Anglika.

— Czy mówił z cudzoziemskim akcentem?

— O tak, miał zawsze swój specyficzny akcent, który stawał się coraz bardziej wyraźny w miarę jak ojciec posuwał się w latach. Nie raziło nas to zbyt. Ojciec np. nigdy nie mógł wymówić „th”. Miał z tym mnóstwo kłopotu. Prócz tego, gdy był czymś bardzo przejęty, jego akcent o wiele bardziej się uwydatniał. Miejscowa ludność rozumiała go zupełnie dobrze, ale przecież zawsze patrzono na niego

nie wiem, żyje jeszcze w Polsce, a nie znam jej adresu. Mielismy być ich gośćmi, posiać ich była po rosyjskiej stronie granicy. Pani Retingerowa pojechała kilka tygodni przed nami, a mąż jej towarzyszył nam w podróży.

W Krakowie pamiętam doskonale jedno zdarzenie. Siedzieliśmy w restauracji hotelowej — nie przypominam sobie nazwy hotelu — z dala od wejścia, gdy nagle ojciec spojrzął w stronę drzwi i na jego twarzy zjawiał się wyraz radosnego zdziwienia. Pamiętam, w drzwiach stał wysoki, siwy, przystojny mężczyzna z wąsem i patrzył na ojca. Przez długą chwilę patrzyli tak na siebie i nagle ni stąd ni zowąd skoczyli ku sobie i na środku sali padli sobie w ramiona. Ojciec krzyknął: „Kostus — przypuszczam że to szkolne przezwisko lub zdrobniałe imię — Buszczyński!”. Ściskali się na środku sali — zawsze wspominam tę scenę. Był to przyjaciel ojca, którego nie widział czterdzieści lat. Następnego dnia udaliśmy się do majątku Buszczyńskiego. Było to w dniu wybuchu pierwszej wojny światowej. Pojechalismy wypożyczonym samochodem. Podczas podwieczorku w majątku zjawilo się wojsko austriackie i zaczęło rekwirować konie i wozy. Z wielką trudnością powstrzymano ich od zarekwirowania samochodu, bez którego matka nie mogłaby wrócić do Krakowa.

— Czy pamięta pan coś z samego Krakowa? Matka pana wspomina, że pan wraz z ojcem zwiedziliście miasto i przesiadywaliście w kawiarni?

— Oglądaliśmy dokładnie uniwersytet, zamek królewski, ojciec miał dużo wspomnień związanych z Krakowem. Gdy byłem sam, łąziłem i robiłem zdjęcia, nikt mnie nigdy nie zaczepiał, miałem tych zdjęć wcale dużo.

— Miał pan wtedy 16 lat, czy spotykał pan jakieś polskie panienki?

— Muszę przyznać, że nie bardzo się nimi wtedy interesowałem. Naturalnie były jakieś kuzynki, imiona ich wyleciały mi z głowy. Jak pani wie, byliśmy internowani w Zakopanem kilka miesięcy, co najmniej trzy miesiące. W pensjonacie pani Sułkowskiej było sporo dziewczynek, jej siostrzenic, ale nie pamiętam jak się nazywały. W ostatnich latach jedna czy dwie pisały do mnie.

— Odpisał im pan?

— Naturalnie. Był tam także stary dr Górski.

— Tak, to autor portretu ojca pana.

— Nie wiem, czy to on robił portret ojca, czy to jego żona.

— Jak wiem, to był dr Górski, który zrobił portret węglem.

— Tak, szkic węglem. Mam nawet gdzieś kopię tego portretu. Górski był bardzo wysoki, miał brodę, typ niezwykle towarzyski. Był naszym prze-

ciem, żyje jeszcze w Polsce, a nie znam jej adresu. Mielismy być ich gośćmi, posiać ich była po rosyjskiej stronie granicy. Pani Retingerowa pojechała kilka tygodni przed nami, a mąż jej towarzyszył nam w podróży.

W Krakowie pamiętam doskonale jedno zdarzenie. Siedzieliśmy w restauracji hotelowej — nie przypominam sobie nazwy hotelu — z dala od wejścia, gdy nagle ojciec spojrzął w stronę drzwi i na jego twarzy zjawiał się wyraz radosnego zdziwienia. Pamiętam, w drzwiach stał wysoki, siwy, przystojny mężczyzna z wąsem i patrzył na ojca. Przez długą chwilę patrzyli tak na siebie i nagle ni stąd ni zowąd skoczyli ku sobie i na środku sali padli sobie w ramiona. Ojciec krzyknął: „Kostus — przypuszczam że to szkolne przezwisko lub zdrobniałe imię — Buszczyński!”. Ściskali się na środku sali — zawsze wspominam tę scenę. Był to przyjaciel ojca, którego nie widział czterdzieści lat. Następnego dnia udaliśmy się do majątku Buszczyńskiego. Było to w dniu wybuchu pierwszej wojny światowej. Pojechalismy wypożyczonym samochodem. Podczas podwieczorku w majątku zjawilo się wojsko austriackie i zaczęło rekwirować konie i wozy. Z wielką trudnością powstrzymano ich od zarekwirowania samochodu, bez którego matka nie mogłaby wrócić do Krakowa.

Wracamy do salonu by wypić herbatę. Jak zawsze w Anglii, herbata zaparzona z całym staraniem, może godnym lepszej sprawy, jest doskonała. Do niej ciastka i herbatniki, tych różnorodność niebywała.

— Czy ma pan jakieś wspomnienia ze swego dzieciństwa w waszym domu?

— Myśli pani z tych czasów gdy byłem dzieckiem?

— Tak.

— Właściwie to nie mam żadnych. Byłem jedynym dzieckiem aż do 9-go roku życia. Mieszkaliśmy na głębokiej prowincji. Naturalnie otrzymywałem prezenty, ale prezenty dawane

statniej, siedziało się w jakiejś dziurze, przylatywała kula lub pocisk, i było po wszystkim. Ta sytuacja ówczesnej młodzieży spowodowała tę dydakcję.

— Pamiętam słowa ojca pana: „Borysowi i jego rówieśnikom, którzy w zaraniu swej młodości przekroczyli „smugę cienia”, utwór ten z miłością poświęcam”. Po powrocie z Francji ożenił się pan. Nastąpiło to nagle, i jak pisze matka pana, w sekrecie.

— To prawda. Była to sprawa, w której nie zastosowałem się do rad ojca.

— Czy to znaczy że ojciec był przeciwny temu małżeństwu?

— Ojciec nie znosił abym cokolwiek robił bez jego wiedzy, a w tym wypadku nic mu nie powiedziałem. Właściwie jednak nie był znów tak bardzo zły.

— Ma pan dwóch synów?

— Nie, to mój brat miał dwóch. Ja mam jednego.

— Na imię mu Filip?

— Tak.

— W jakim zawodzie pracuje?

— Zajmuje się planowaniem miast.

Właśnie teraz dostał się do działu planowania w hrabstwie Worcester. Innymi słowy, pracuje w samorządzie miejskim.

— Czy ma jakieś zdolności literackie?

— Raczej nie, choć z drugiej strony pisze dużo z dziedziny swoich zainteresowań, w czasopismach samo-

nie pracując zbyt ciężko, prawdopodobnie zabiorę się do niej.

— Niech mi pan powie, jak to się stało, że dano panu na imię Borys. Czy ojciec pana uważał że to polskie imię?

— Ojciec stanowczo nalegał aby było pisane przez „y”, bo tak jest po polsku, a nie po rosyjsku. Był bardzo czuły na tym punkcie.

— I aż do dnia dzisiejszego pisze pan swoje imię przez „y”?

— Tak.

— Czy używał pan kiedyś nazwiska Korzeniowski?

— Nie. Dawno już przestałem używać tego nazwiska, i to oficjalnie. Tak samo zresztą jak to zrobił i ojciec. Czyli złożyłem prawną deklarację, że nie będę używał rodzinnego nazwiska i że życzę sobie być znanym pod nazwiskiem Conrad. Przez tę samą procedurę przeszedł także ojciec. Choć jak pamiętam, i to od najwcześniejszej młodości, nigdy nie mógł on być brany za Anglika.

— Czy mówił z cudzoziemskim akcentem?

— O tak, miał zawsze swój specyficzny akcent, który stawał się coraz bardziej wyraźny w miarę jak ojciec posuwał się w latach. Nie razilo nas to zbytnio. Ojciec np. nigdy nie mógł wymówić „th”. Miał z tym mnóstwo kłopotu. Prócz tego, gdy był czymś bardzo przejęty, jego akcent o wiele bardziej się uwydatniał. Miejscowa ludność rozumiała go zupełnie dobrze, ale przecież zawsze patrzono na niego jak na cudzoziemca i to wcale nie dlatego, że był Polakiem. Niech pani nie zapomina, że mieszkaliśmy w szczerym polu, najbliższa farma była o milę od nas. To było w hrabstwie Kent. Każdy, kto nie pochodził z tej okolicy, był tak czy owak uważany za cudzoziemca. A co dopiero ci, co przyjeżdżali z Londynu.

— Czy widuje się pan ze swoim bratem?

— Nawet często. Młodszy syn mego brata był jedynym członkiem rodziny, który wyglądał na Polaka. Zginął w wypadku samochodowym. To był prawdziwy Polak. Z nas wszystkich Peter miał w sobie najwięcej z Korzeniowskich. Niestety, żył zbyt krótko, by to się odpowiednio uwydatniło. Był naprawdę niezwykle uzdolniony literacko.

Na tym kończę moją rozmowę z Borysem Conradem. W drodze powrotnej do Londynu myślę, czy Borys napisze książkę o swoim ojcu. I czy będzie to jeszcze jedna książka o jego osiągnięciach literackich, czy raczej książka, opisująca życie ojca, widziane przez syna, oczami kogoś, kto żył w samym środku kręgu jego życia. Mógłby to być — moim zdaniem — niezwykle doniosły przyczynek do poznania wielkiego pisarza.

Krystyna Sierz